

Andrzej NOWAK

CZY POLSKA MA JESZCZE JAKĄŚ PRZYSZŁOŚĆ?

Musimy odbudować te dwa fundamenty w naszej postawie [...]: pewność, że żaden, choćby najsilniej zniechęcający kształt teraźniejszości (politycznej, społecznej, cywilizacyjno-kulturowej) nie unieważnia naszego dziedzicznego obowiązku; wiarę, że przyszłość wypełni ostatecznie Opatrzność, w której zawsze położyć możemy nadzieję naszych tutaj starań.

Ponad dwieście lat temu, 26 stycznia 1797 roku, w Petersburgu została podpisana finalna konwencja o rozbiórce Polski. Trzej rozbiornicy stwierdzali w niej zupełny, ostateczny i nieodwołalny podział Rzeczypospolitej oraz składali uroczyste przyrzeczenie, że nikt nigdy nie będzie się starał odbudować Polski, że sama nazwa „królestwa polskiego” zostanie raz na zawsze wymazana. To miał być koniec. Polacy zostali – „Bez znaczenia, jestestwa, języka, nazwiska,/ Przestrojeni w szyderski kubrak pośmiewiska” (Jan Paweł Woronicz, Hymn do Boga o dobrodziejstwach Opatrzności narodowi polskiemu wyświadczonych po upadku Polski).

Najbardziej bezpośredni, poruszający zapis tego doświadczenia znaleźć można nie w traktatach politycznych, nie w publicystyce, ale w poezji tamtego czasu: w Świątyni Sybilli kanonika Woronicza, Bardzie polskim młodego księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, Trenach na rozbiór Polski księdza Józefa Morelowskiego, Poemacie o miłości Ojczyzny pułkownika Rajmunda Korsaka. Składając swoje wiersze między 1795 a 1797 rokiem nie wiedzieli oni, czy to już rzeczywiście koniec Polski, i nie oszukiwali swoich czytelników tanią pociechą. Narody nie mają gwarancji życia wiecznego: to jasno zostało Polakom u końca Rzeczypospolitej uświadomione. Ale przecież śmierć Ojczyzny także nie jest zagwarantowana, nie jest nieuchronna, dopóki sami Polacy tej nieuchronności nie przyjmą, nie wyrzekną się nadziei odrodzenia swojej wspólnoty, nie zrezygnują z dziedzicznego obowiązku jej przekazywania następnym pokoleniom. Tyle swoim współczesnym mówili Morelowski, Czartoryski, Korsak. Woronicz dodawał wiarę, że Pan Bóg ma dla Polaków jeszcze więcej jak rozdał i jak roztrwonili. Minęła jedna ledwie wigilia od petersburskiej konwencji i urodził się Polakom Adam Mickiewicz. Były już wtedy Legiony we Włoszech; była ich pieśń - Mazurek Dąbrowskiego; były już pierwsze próby powstańcze i spiskowe na polskiej ziemi: bukowińska ekspedycja pułkownika Deniski, wileńska konspiracja księdza Ciecierskiego. Polacy tamtego czasu przekroczyli próg nadziei.

Kolejny raz, może jeszcze wyżej, próg ten ustawiony został 150 lat później – w Polsce pojałtańskiej. Kiedy komuniści stłumili zorganizowany opór narodu i kiedy ich panowanie ustabilizowane zostało w skali całego, utworzonego po drugiej wojnie obozu, pojawiło się poczucie beznadziejności, nieuchronności końca Polski w całym jej dotychczasowym, historycznym, tradycyjnym, kulturalno-cywilizacyjnym znaczeniu. Tę groźbę najlepiej może odmalował emigrant – Józef Czapski w zapomnianym dziś artykule z połowy 1950 roku. Wskazał w nim na ścisły związek, jaki łączy rezygnację z przyszłości naszej wspólnoty, porzucenie nadziei na nią, walki o nią – z utratą całej przeszłości, całego znaczenia i dorobku polskość. „Historię piszą zwycięzcy, dokumenty zbierają zwycięzcy, zafałszowują historię zwycięzcy. O Galii wiemy tyle, co o niej piszą Rzymianie, zniszczywszy ją pierwej. Co będą ludzie wiedzieć o Polsce, o roku 1939, 1940, 1944, zależy będzie od tego, kto będzie zwycięzcą. Czytając encyklopedię sowiecką, rozdziały dotyczące na przykład 1920 roku, czy pamiętniki Churchilla, mamy już pewne próbki. Czy cała historia Polski nie może być wówczas skurczona do jakiejś z ręcznie spreparowanej przykłej anegdoty? Cóż będzie świat wtedy wiedział np. o wielkiej poezji polskiej, pewno tyle, co my wiemy dzisiaj o poezji Galii. [...] Cóż będzie z morzem naszej poezji, gdyby miał zapanować nad światem duch encyklopedii sowieckiej?” (Łańcuch niewidzialny, „Kultura” 1950, nr 6).

Tego chciała, do tego właśnie zmierzała komunistyczna władza nad Polską – do „przeredagowania” poddanego jej kraju w duchu sowieckiej encyklopedii. Strach i poczucie beznadziejności, Heglem podszyte, dyktowały w 1950 roku zgodę na współuczestnictwo w tym procederze. Czapski – tak jak autorzy poezji utrwalałcej wstrząs ostatecznego rozbioru – nie udawał pewności sukcesu Polski w tej śmiertelnej walce. Nie wiedział, czy Polska – jaką znał i jakiej był wierny – ma jeszcze przyszłość. Wskazywał tylko na „łańcuch niewidzialny”, który nie pozwalał jemu osobiście i takim jak on upartym Polakom oderwać się od wiary w sens przedłużania polskość, od obowiązku uczestniczenia w tym dziele. Łańcuch ów tworzą pokolenia ofiar niewinnych, które – jak przed Czapskim pisał Norwid – „padły konając na to, aby ci, co po ich śmierciach żyć będą, byli wyżsi i szczęśliwsi”. Polakiem jest ten, kto tych ofiar, często bezimiennych, nie może zapomnieć. Nie może też zrezygnować ze starań o przeniesienie wraz z pamięcią (dla Czapskiego była to przede wszystkim pamięć Katynia) wyrażonej przez Norwida nadziei – lepszej przyszłości – na pokolenia następne. Wbrew surowym faktom politycznej rzeczywistości, wbrew zorganizowanemu, systematycznemu „redakcyjnemu” wysiłkowi komunistów, takich Polaków nie zabrakło. Oni odsunęli widmo zwycięstwa ducha sowieckiej encyklopedii nad narodową tożsamością; w kolejnych zrywach – od czerwca 1956 do sierpnia 1980 roku – przybliżali tę lepszą, nie odciętą od pamięci, przyszłość.

4 czerwca 1989 roku wydawało się, że ona wreszcie nadeszła, że otworzyła się w długi, spokojny horyzont. Dziś mało kto kłopotczy się przyszłością Polski.

Jeśli już – to raczej w kategoriach ekonomicznych: troski o utrzymanie wzrostu gospodarczego, zmniejszenie inflacji, reformę ubezpieczeń, dokończenie restrukturyzacji wielkiego przemysłu, udaną integrację z Unią Europejską... A przecież stało się coś, coś niedobrego, z polską przyszłością. Symbolicznie – grubą kreską – została odcięta od pamięci. Ten symbol stał się ważny nie dlatego bynajmniej, że określił decyzję czy intencję pojedynczego polityka czy ugrupowania. Stał się ważny, boleśnie ważny dlatego, że wyraził najzwyczajniej wielki fakt społecznej świadomości.

Ogromna część Polaków odrzuciła poczucie zobowiązania wynikającego z międzypokoleniowej więzi narodowej wspólnoty. Polskość stała się dla nich balastem raczej, niekiedy nawet źródłem wstydu w konfrontacji z „nowoczesnym”, „zachodnim” światem. Odrzucenie wdzięczności i szacunku w pamięci o przodkach, którzy zostawili nam kulturę, język, tradycję, a także swoją ofiarę (tę, o której pisał Norwid i przypominał Czapski), pociągnęło za sobą brak jakiegokolwiek motywacji do przekazu polskości pokoleniom następnym.

Korzenie tego zjawiska sięgają głęboko poza ostatnie siedmioletnie (i analizowane były wielokrotnie – tak na gościnnych łamach „Ethosu”, jak i w „Arcanach”, dawniej w „Arce”). W nim jednak – w ostatnim czasie – nastąpiło gwałtowne ujawnienie, odstąpienie konsekwencji tego zjawiska. Teraz wszyscy „odbrązowiacze” polskości, ci, którzy starali się wydobyć w masowej świadomości na plan pierwszy ciemne strony narodowych dziejów, wykpić lub ironią co najmniej pokryć postawę wierności i powagi wobec spraw Ojczyzny – oni wszyscy zbierają teraz swoje wielkie żniwo. Skala ich sukcesu, mierzona nie tylko mniej lub bardziej wiarygodnymi sondażami, ale konkretnymi wyborami – politycznymi i ideowymi – współczesnych Polaków, przerasta wszystkie oczekiwania. Dla nich, i dla tych, którzy poszli za nimi – w przekonaniu o własnej nowoczesności i nonkonformizmie – przyszłość Polski nie znaczy nic poza możliwością posuwania w niej (a często tylko odbicia od niej) indywidualnych karier, awansu dostosowanego do wzorów tworzonych w Hollywood czy też w kręgach bardziej wyrafinowanych, postmodernistycznych intelektualistów bez ojczyzny.

Z przyszłością Polski – po jej oderwaniu od przeszłości, przeciwstawieniu nawet tradycji – stało się jednak coś gorszego. Zwątpili w nią ci, którzy polskości wyrzec się nie chcą i nie potrafią. Nadziei nie odebrała im ujawniona teraz w kraju siła społecznej perswazji dziedziców Boya i Bermana, ale głębsze z każdym z ostatnich kilkudziesięciu miesięcy przekonanie, że ta właśnie siła wyraża najlepiej rzeczywistość współczesnego świata, świata postnowoczesnej „lekkości bytu”. Inaczej niż dwieście lat temu zaborcy, inaczej niż pięćdziesiąt lat temu komuniści, świat postnowoczesny nie prowadzi walki z Polską, polskością i tradycyjnymi ingrediencjami. On je po prostu unie(po)ważnia – tak jak unieważnia wszelkie inne trwałe przywiązania i zobowiązania, patriotyzmy i ortodoksje. W świecie zdominowanym przez telewizję, reklamę, pluralizm

zachcianki i szybkość jej spełnienia, Polska – owszem – ma swoje miejsce. Jako nieszkodliwe hobby mniejszej czy większej grupy amatorów, którzy mogą zrzeszać się w klubach (jak filumeniści czy filateliści), wydawać swoje książki i czasopisma, spotykać się na klubowych zjazdach i walczyć na nich o władzę – nad klubem. Mogą również reklamować przedmiot swojego hobby, promować jego zalety – tak jak robi się to z margaryną, przyrządami do utrzymania tężyzny fizycznej czy wakacjami na Seszalach. Polska może zatem istnieć jeszcze w Polsce – jako subkultura. I taki właśnie zaczyna być sposób jej wegetacji.

Czy musimy się na to zgodzić, pogodzić się z tym, przyjęc ten stan jako nieuchronny? Nie. Musimy tylko odbudować te dwa fundamenty w naszej postawie, które opisali i zachowali przywołani tutaj świadkowie pierwszej i drugiej próby zniszczenia Polski: pewność, że żaden, choćby najsilniej zniechęcający kształt teraźniejszości (politycznej, społecznej, cywilizacyjno-kulturowej) nie unieważnia naszego dziedzicznego obowiązku; wiarę, że przyszłość wypełni ostatecznie Opatrzność, w której zawsze położyć możemy nadzieję naszych tutaj starań. To pozwoli uniknąć zawrotu głowy od próby odtwarzania całego układu zależności współczesnego świata, od szukania własnego w nim miejsca z globalnej perspektywy. To pozwoli także wyzwolić się od niecierpliwości szybkiego i globalnego właśnie sukcesu, głodu widocznej natychmiast efektywności naszych starań. Na ile okażą się one skuteczne, wykażą nie dzisiejsze sondaże czy opinie gazet, ale przyszłość. Musimy uwierzyć w jej istnienie – dla Polski.

O tym mówił do nas – wiele razy – papież Jan Paweł II. Szczególnie mocno w czasie pielgrzymki do Polski w 1991 roku – gdy przypominał o czwartym przykazaniu (na lotnisku w Masłowie), gdy spotykał się ze światem szkoły (we Włocławku), w rozmowie z obrońcami polskiej kultury w trudnym czasie komunizmu (w Warszawie). Najdobitniej, najmocniej brzmią jednak wciąż te słowa wypowiedziane na progu czasu nowej próby – w 1987 roku, na spotkaniu z młodzieżą w miejscu symbolicznym, na Westerplatte:

„Przyszłość Polski zależy od Was i musi od Was zależeć. To jest nasza Ojczyzna – to jest nasze «być» i nasze «mieć». I nikt nie może pozbawić nas prawa, ażeby przyszłość tego naszego «być» i «mieć» nie zależała od nas. Każde pokolenie Polaków, zwłaszcza na przestrzeni ostatnich dwustu lat, ale i wcześniej, przez całe tysiąclecie, stawalo przed tym samym problemem, można go nazwać problemem pracy nad sobą, i – trzeba powiedzieć – jeżeli nie wszyscy, to w każdym razie bardzo wielu nie uciekało od odpowiedzi na wyzwanie swoich czasów. Dla chrześcijanina sytuacja nigdy nie jest beznadziejna. Chrześcijanin jest człowiekiem nadziei. To nas wyróżnia, począwszy od tego patriarchy, którego nazywa św. Paweł ojcem naszej wiary: uwierzył wbrew nadziei [...]; to nas wyróżnia poprzez Bogarodzicę, o której Elżbieta przy nawiedzeniu powiedziała: «Błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła» [...]; po

ludzku, wbrew nadziei, uwierzyła, że się stanie, bo w dziejach człowieka działa Bóg. Powiedział Chrystus: «Ojciec mój dotąd działa i ja działam» [...]. I to miejsce jest także świadkiem wielkiego działania Boga przez ludzi. [...] Trzeba, ażeby ten symbol wciąż przemawiał, ażeby stanowił wyzwanie dla coraz nowych ludzi i coraz nowych pokoleń Polaków”.

Przeszłość i przyszłość połączone obowiązkiem i wiarą.